

BENEDYKT XVI O SWOJEJ DRODZE KAPŁAŃSKIEJ

O swojej drodze kapłańskiej i doświadczeniach duszpasterskich opowiedział papież-senior Benedykt XVI w wywiadzie udzielonym pisemnie Tobiasowi Winstelowi z okazji 70. rocznicy swoich święceń kapłańskich, a który ukazał się na łamach niemieckiego miesięcznika katolickiego „Herder Korrespondenz”.

Oto całość rozmowy Tobiasa Winstela z Benedyktem XVI w tłumaczeniu na język polski:

Czy byłem dobrym duszpasterzem?

Ks. Joseph Ratzinger niecały rok spędził jako wikary w monachijskiej parafii. Była to jego jedyna funkcja ściśle duszpasterska. Po siedemdziesięciu latach papież-senior ponownie udał się w pisemnym wywiadzie w podróż do Monachium-Bogenhausen. Miał zaledwie 24 lata i zaledwie kilka tygodni wcześniej ukończył studia z teologii katolickiej. Wraz ze swoim starszym bratem Georgiem przyjął we Fryzyndze święcenia kapłańskie. Wywodząc się ze skromnego środowiska, był uważany za wyjątkowo mądrego i wykształconego, ale jednocześnie wydawał się niezbyt pewny siebie i nieśmiały. Jest późne lato 1951 roku i musi objąć posadę wikarego w parafii Najświętszej Krwi Chrystusa w Bogenhausen, dzielnicy klasy średniej we wschodniej części Monachium.

„Sam jako wierzący pytający”

Dlaczego Joseph Ratzinger w ogóle chciał zostać księdzem? Na co miał nadzieję, czego się obawiał? W tym momencie nie może wiedzieć, że pewnego dnia zostanie wybrany papieżem. że przejdzie do historii już za swojego życia, jako jedna z najważniejszych, a zarazem najbardziej kontrowersyjnych osobowości swoich czasów, jako drugi papież, który dobrowolnie zrezygnował z urzędu. Siedemdziesiąt lat temu, latem, stanął na drodze kapłaństwa. Jako duchowny musiał najpierw nauczyć się nawiązywać kontakt ze swoją wspólnotą. Dziś, w czasach pandemii koronawirusa, nie można odwiedzić sędziwego papieża-seniora Benedykta XVI i przeprowadzić rozmowę w Watykanie. Ale zgodził się ponownie przejść duchowo ścieżkami, którymi młody Joseph Ratzinger podążał od września 1951 do początku lata 1952 roku. Dlatego odpowiedział pisemnie na przesłane pytania. W rezultacie powstał szczególny rodzaj rozmowy, która pokazuje, jak bardzo czuje się on jak w domu pisząc, bardziej autentycznie oddziałuje niż w swobodnej rozmowie. Pozostaje człowiekiem pióra, a nie wielkiego gestu i spontanicznego słowa.

Ten duchowy spacer rozpoczyna się od pytania, jak ksiądz Ratzinger przeżywał przejście od czystej doktryny do rzeczywistości codziennej wiary albo nawet niewiary. Jak wyglądała konfrontacja młodego duchownego z ludzkimi wątpliwościami dotyczącymi wiary? Czy w Bogenhausen zetknął się z inną religijnością, z innym rodzajem pobożności i bojaźni Bożej niż tej, której doświadczył w dzieciństwie w Aschau am Inn?

„Oczywiście spotykałem się z wątpliwościami ludzi co do wiary i rzecz jasna rodzaj pobożności, jakiej doświadczałem w parafii Najświętszej Krwi był inny niż we wspólnocie wiejskiej w Aschau. Natomiast sytuacja wiary we wspólnocie uczniów

szkoły średniej, do której należałem w Traunstein, a później we Flak w Monachium, była bardzo podobna do warunków życia w Bogenhausen. Ale przede wszystkim człowiek wierzący jest też pytającym, który musi wciąż na nowo odnajdywać rzeczywistość wiary wobec uciążliwych realiów życia codziennego. Pod tym względem idea «ucieczki w czystą doktrynę» wydaje mi się zupełnie nierealna. Doktryna, która istniałaby tak, jak rezerwat przyrody, oddzielona od codziennego świata wiary i jego trudów, byłaby jednocześnie wyrzeczeniem się samej wiary. Doktryna musi rozwijać się w wierze i z wiary, a nie stać obok niej” – pisze Benedykt XVI w naszej pisemnej rozmowie na początku lata 2021 roku. Nawiasem mówiąc, Ratzinger w gruncie rzeczy wcale nie spełniał wymogów formalnych. Jak ujawnia obszerna biografia Petera Seewalda „Benedykt XVI. Życie”, nie przeszedł on tzw. konkursu parafialnego, który był warunkiem zostania proboszczem i czymś w rodzaju sposobu ubiegania się o parafię. Czy to był znak, że nie chciał pracować w duszpasterstwie parafialnym?

„Nie można było po prostu wybrać, czy i kiedy podjąć udział w konkursie parafialnym. Było raczej tak, że w ciągu trzech lat po święceniach, każdego późnego lata były przewidziane rekolekcje dla całego kursu wyświęconych i oczywiście we wszystkich brałem udział. Dopiero w następnym roku można było przystąpić do konkursu parafialnego. Ale już wtedy byłem po stronie wykładowców, a bycie egzaminatorem i egzaminowanym jednocześnie nie wydawało mi się sensowne”.

Dziś nie nazywa się to już konkursem parafialnym. Zgodnie z przepisami egzaminacyjnymi archidiecezji Monachium i Fryzycji warunkiem koniecznym do podjęcia pracy duszpasterskiej jest drugi egzamin duszpasterski, który obejmuje między innymi pisemną refleksję nad praktycznym zagadnieniem teologicznym. Jaki temat wybrałby Joseph Ratzinger, gdyby regulamin egzaminacyjny wówczas tego wymagał?

„Wybrałbym jeden z tematów praktycznych, np. przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej. Jeśli chodzi o rekolekcje, które odbyły się w Fürstenried, gdzie spędziłem dwa lata moich studiów teologicznych, wspominam je z wielkim sentymentem. W pierwszym roku powierzono je wiedeńskiemu zakonnikowi, który prowadził dla nas te rekolekcje na wysokim poziomie duchowym i ludzkim. W drugim roku był to o. Hugo Rahner, brat Karla Rahnera. Jego rekolekcje były również na wysokim poziomie, ale miały w sobie coś przynębiającego – być może to choroba Parkinsona przyćmiła nieco jego temperament. W trzecim roku rekolekcje prowadził jezuita z klasztoru św. Michała w Monachium, które były mniej wymagające, ale radosne i dodające otuchy. Opowiadał nam wiele zabawnych historyjek, między innymi o tym, jak przygotowując kazanie, gdy nic mu się nie układało, zakładał kapelusz księdza Mayera i natychmiast otrzymywał upragnione natchnienie”.

Zanim Joseph Ratzinger rozpoczął pracę jako wikary w Bogenhausen, został na kilka tygodni „wypożyczony” do parafii w Moosach na północy Monachium i musiał tam robić wszystko. Dla neoprezbitera oznaczało to wiele pracy, a dziś prawdopodobnie byłoby to zbyt wiele dla młodego wikarego. Czy nie było to dla niego, mówiąc nieco potocznie, za dużo pracy?

„Dla mnie nie było to nazbyt wiele pracy. Potrzebowałbym jednak wskazówek w wielu sprawach, ale proboszcz był na urlopie z powodu zawału serca, a wikary był wikarym. Również siostra parafialna była nieobecna, więc nikt nie mógł mi udzielić

wskazówek w trudnych sprawach. Sama praca w Moosach była również piękna, ale problematyczna bez tych wskazówek”.

Młody wikary jest najczęściej opisywany przez ludzi, którzy go wtedy spotykali, jako powściągliwy, żyjący bardziej wewnątrz niż zewnątrz, wyhamowany, wręcz nieśmiały w stosunku do ludzi. Proboszczem parafii Najświętszej Krwi Chrystusa był wówczas ks. Max Blumschein. Oczywiście od razu rozpoznał w swoim nowym wikarym błyskotliwego teologa, ale zauważył też jego nieśmiałość. Czy decyzja o wyborze dalszej drogi poza pracą w parafii dojrzała może już w tych pierwszych dniach posługi duszpasterskiej?

„Już znacznie wcześniej myślałem o karierze teologa. W końcu napisałem pracę o św. Augustynie, nagrodzoną przez wydział teologiczny za rok akademicki 1950/51, i ocenioną jako summa cum laude, tak że do doktoratu brakowało mi tylko rigorosum i nie miałem pewności, czy będę mógł się do niego przygotować łącząc to równolegle z pracą wikarego”.

Posługa w konfesjonale

Czy Bogenhausen było szczególnie religijne i pobożne, szczególnie miejskie, szczególnie katolickie?

„Pochodząc z małego miasteczka Traunstein, nie postrzegałem Monachium jako szczególnie katolickiego. Bardzo zaskakujące było dla mnie poznanie religijnej strony miasta poprzez moją posługę kapłańską, podczas gdy do tej pory, w czasach studenckich, zwracałem uwagę przede wszystkim na akademicki profil Monachium. Teraz, ku mojemu zdumieniu, uświadomiłem sobie, jak wiele wiary kryje się w tym mieście i jest ona siłą, która ludzi łączy ze sobą”.

Czy były „miejsca odosobnienia”, może poza budynkami kościelnymi?

„Jedno z moich «miejsc odosobnienia» znalazłem nie na zewnątrz budynku kościelnego, ale właśnie w jego wnętrzu, a mianowicie w konfesjonale. Proboszcz ks. Blumschein był zdania, że trzeba dać jak najwięcej okazji do spowiedzi i raczej spędzić tam godzinę nie spowiadając nikogo, niż pustym konfesjonalem zniechęcić kogoś do spowiedzi. Musiałem więc być w konfesjonale każdego ranka o godzinie szóstej, aż do Mszy świętej o godzinie siódmej, którą odprawiałem. Prawie zawsze ta godzina pozostawała wolna, tak jak w sobotnie popołudnia, gdy konfesjonał był otwarty od czwartej do ósmej wieczorem, a chętni do spowiedzi pojawiali się dopiero późno. Szczególnie cenna była dla mnie godzina poranna, aby powoli przygotować się do dnia i w spokoju odmówić część bardzo jeszcze wtedy długiej modlitwy brewiarzowej”.

Późniejszy profesor dogmatyki siedzi w konfesjonale i wybacz grzesznikom. W swoim pierwszym Wielkim Tygodniu jako wikary spędził w konfesjonale prawdopodobnie 30-40 godzin. W swojej autobiografii „Moje życie” pisze: „W ten sposób doświadczyłem bardzo bezpośrednio, jak bardzo ludzie czekają na księdza, jak bardzo czekają na błogosławieństwo, które płynie z mocy sakramentu. (...) Widzieli w nas ludzi, których dotknęła misja Chrystusa i mogli nieść Jego bliskość ludziom”. Brzmi to dość metafizycznie, ale mówiąc bardzo

praktycznie – czy sam poszedłby na nabożeństwo i spowiedź do wikarego Ratzingera?

„Zawsze lubiłem odprawiać nabożeństwa, ale posługa w konfesjonale była dla mnie trudna. Nawet jeśli wiele spowiedzi pozostawało dość schematycznych, zawsze pojawiały się prawdziwe wydarzenia wiary, które sprawiały, że odczuwałem potrzebę i piękno tej posługi. Mogłem doświadczyć, jak niektórzy ludzie sami również na nowo otwierali się przez spotkanie z samym Bogiem i pozwalali, aby ich życie zostało na nowo ofiarowane przez Pana” – pisze dziś Benedykt XVI.

Oprócz spowiedzi, kilka razy w tygodniu jeździł rowerem po Monachium na pogrzeby, udzielał chrztów i ślubów. Musiał uczyć w szkole podstawowej, która do dziś znajduje się na terenie parafii. Był również odpowiedzialny za pracę z młodzieżą w parafii. Było to wielkie wyzwanie dla kogoś, kto dopiero co ukończył studia i nie miał żadnego doświadczenia praktycznego. Czy czuł się potrzebny, wykorzystywany przez wyższe instancje lub wyzyskiwany? Które z przydzielonych zadań było dla niego najważniejsze? Patrząc z perspektywy czasu, na co zabrakło miejsca?

„Myśl o byciu wykluczonym lub wykorzystywanym nigdy nie przyszła mi do głowy, ale świadomość, że jestem potrzebny, już tak. Najważniejszą rzeczą pod względem poświęconego czasu była po prostu praca w szkole. Musiałem prowadzić około dziesięciu lekcji tygodniowo w czterech klasach z różnych przedmiotów, a to wymagało przygotowania. Posługa kaznodziejska wymagała również czasu wewnętrznego i zewnętrznego. Nie poświęcałem wystarczająco dużo czasu na pracę z młodzieżą, choć byłoby to miłe”.

Wikarym w parafii Najświętszej Krwi Chrystusa niecałe dziesięć lat przed Ratzingerem był ksiądz Hermann Josef Wehrle. Po zamachu na Hitlera, 20 lipca został aresztowany jako współpracownik ruchu oporu, skazany na karę śmierci i powieszony. W parafii tej pracował również jako proboszcz jezuita ksiądz Alfred Delp. Jako członek Kręgu z Krzyżowej został zamordowany przez hitlerowców na krótko przed końcem wojny. Jaki wpływ wywarli na niego ci dwaj mocni świadkowie wiary i człowieczeństwa, jaki wpływ wywarli na parafię?

„Ks. Delp i ks. dr Wehrle zostali uhonorowani na dziedzińcu parafialnym. Istnieje tam już tablica z czterema nazwiskami osób, które zostały zamordowane w związku z zamachem w 1944 roku. Wywiązała się dyskusja, ponieważ jedna z czterech zamordowanych osób była prawdopodobnie odpowiedzialna za aresztowanie ks. doktora Wehrle. Sprawa była bardzo zagmatwana i należy być ostrożnym z przypisywaniem winy. Ponieważ ks. dr Wehrle mieszkał na plebanii jako wikary, wspomnienie o nim było oczywiście szczególnie żywe. Z drugiej strony można już było przeczytać najpiękniejsze teksty księdza Delpa, który zresztą na krótko przed śmiercią złożył swoje czwarte śluby jezuitskie na ręce księdza Franza von Tattenbacha, który był naszym kierownikiem duchowym we Fryzyndze i którego krewni mieszkali w parafii Najświętszej Krwi. Trwają przygotowania do beatyfikacji księdza Delpa. Nie wiem, dlaczego nic się nie dzieje z doktorem Wehrle. Święty wikary byłby przecież czymś pięknym i prowokującym” .

Do parafii Najświętszej Krwi należy również Sankt Georg, pierwotnie pierwszy kościół w Bogenhausen. Na początku lat pięćdziesiątych był to jeszcze kościół wiejski z cmentarzem przykościelnym w starym stylu. Barokowe cacko, które było chętnie używane podczas specjalnych uroczystości i nabożeństw – i tak jest do dziś. Wejdźmy razem z Josephem Ratzingerem na cmentarz Georgskircherl, gdzie pochowane są ważne osobistości, takie jak Erich Kästner, Liesl Karlstadt czy Helmut Dietl. Który grób odwiedziłby dziś Benedykt XVI?

„Pochowany jest tam publicysta i dyplomata Wilhelm Hausenstein. Zastrzegł, że po jego śmierci będę mógł wybrać z jego biblioteki książki, które szczególnie mi się spodobały. Nawiasem mówiąc, znajduje się tam również grób aktorki Liesl Karlstadt, którą wielokrotnie spotykałem w teatrze i darzyłem szczególnym szacunkiem. Wspomnę również Hansa-Jochena Vogela, który zmarł w zeszłym roku i został tam pochowany. Odbierałem go jako polityka, który poważnie traktował wiarę chrześcijańską jako normę, nawet jeśli uważał, że może postulować daleko idącą interpretację w ustawodawstwie aborcyjnym. Chciałbym również wspomnieć aktora Gustla Waldau, którego nie poznałem osobiście. Ale pewna bliska mu kobieta próbowała go nakłonić, żeby przyszedł do mnie do spowiedzi. Była najwyraźniej przekonana, że wewnątrz pragnie on pojednania z Kościołem i zawsze wzbraniał się przed spowiedzią jako drogą do pojednania. Kobieta była najwyraźniej zdania, że spowiedź u mnie może otworzyć mu drogę do pojednania i w tym sensie przygotowała mnie na spotkanie z Gustlem Waldau. Niestety jednak do tego nie doszło. A na koniec odwiedziłem grób rzeźbiarza Hansa Wimmera. Dla mnie jest to bez wątpienia jeden z najważniejszych artystów XX wieku, który zasługuje na znacznie większe uznanie również za granicą. Poznałem go jako człowieka pokornego, który wprawdzie wiedział o wielkości swojej misji, ale też pozostawał bardzo skromny”.

Zawsze, gdy Joseph Ratzinger miał odprawić Mszę w kościele św. Jerzego przechodził również obok grobu Johanna von Lamonta. Był on astronomem i do końca życia dyrektorem Królewskiego Obserwatorium, które do dziś stoi w zasięgu wzroku wieży kościelnej. Dzieci i potrzebujący regularnie zaglądają w dłoń płaskorzeźby Johanna von Lamonta, bo zwykle cudem leży w niej kilka monet. Pozostałość pobożności ludowej i przesądu, które racjonalnie pobożnemu Ratzingerowi są chyba raczej obce. Czy nie było to szczególnie dobre miejsce do przebywania w czasie zmagania z pytaniem o Boga i poszukiwaniem dowodu na istnienie Boga?

„Szczерze mówiąc, nie znałem Johanna von Lamonta, kiedy byłem wikariuszem. Dlatego przejście obok jego grobu nie poruszyło mnie. O wiele bardziej interesowały mnie osobowości, które były bliskie mojemu życiu lub mieszkańcom Bogenhausen. I trochę smutno mi się zrobiło, że ta wspólnota żywych i umarłych, cmentarz wokół kościoła, już dziś nie istnieje. Ale przede wszystkim śmieszyło mnie to, że młodzież katolicka przejęła małą, starą kostnicę i przekształciła ją w centrum młodzieżowe dla siebie. Spędzałem więc wieczory z młodzieżą katolicką w tym miejscu, które z miejsca śmierci stało się miejscem jak najbardziej tętniącym życiem”.

Kazania na Mszach dziecięcych

Jeden z ówczesnych młodych wspomina z perspektywy czasu, że to przede wszystkim młodzież była oczarowana młodym wikarym poprzez wieczory biblijne i spotkania grupowe, kółko śpiewu i Mszę św. dla młodzieży, która odbywała się w każdy czwartek wcześniej rano, tuż po godzinie szóstej. Czy nie było nazbyt trudno sprowadzić chrześcijańskie nauczanie do poziomu wieczorów biblijnych i Mszy młodzieżowych? Czego starszy o kilka lat człowiek mógł się nauczyć od ludzi młodych?

„Tego, czego nauczyłem się od ludzi młodych, nie da się wyrazić w formie zdań czy treści. Chodziło raczej o sposób rozumienia odziedziczonej wiary dzisiaj i życia nią, zwłaszcza w wymianie myśli z ludźmi, którzy jej szukają, ale nie mogą jej znaleźć. Każde z pięciu niedzielnych nabożeństw w Bogenhausen miało swoją publiczność. Wczesną Mszę św. o godz. 6.30 sprawował ksiądz ze Śląska, który w tradycyjny sposób interpretował Ewangelię. O 7.30 przychodzili ludzie wymagający duchowo, ale mocno zakorzenieni w Kościele. O godzinie 9.00 odbywała się główna Msza parafialna z organami, chórem, a w dni świąteczne z orkiestrą. Kazanie głosił proboszcz, ale nie używał do tego ambonki, lecz ze względu na słaby głos stał w pierwszej ławce. Wyrzucał z siebie zazwyczaj hasła, więc audytorium było bardzo skromne. O godz. 10.30 odbywała się Msza św. dla dzieci, za którą odpowiedzialny był wikary. Następnie o godzinie 11.30 miała miejsce Msza święta dla chrześcijan w większości intelektualistów. O godz. 7.30 kazania wygłaszali zwykle jezuici z kręgu redaktorów «Stimmen der Zeit». O godz. 11.30 głosili głównie oratorianie, zwłaszcza ks. Philipp Dessauer. Kazanie dla dzieci, które wygłaszałem, sprawiało mi wiele przyjemności i było w widoczny sposób dobrze przyjmowane. Stało się jasne, że w wierze dorośli są tak naprawdę także dziećmi i dlatego najłatwiej można ich prowadzić do dorosłości w wierze. W każdym razie frekwencja na Mszy św. o godz. 10.30 wzrastała: było to zdecydowanie najlepiej odprawiane nabożeństwo, na którym ludzie zadowalali się miejscami stojącymi, a kościół był wypełniony po brzegi. Tak więc radca kościelny ks. Blumschein wyznaczył mnie wtedy także na kaznodzieję podczas Mszy św. o godz. 7.30, co oznaczało, że przez wiele niedziel musiałem przygotowywać dwa różne kazania”.

Jeśli rozmawia się dziś z parafianami kościoła Najświętszej Krwi Chrystusa, którzy spotykali wikarego Ratzingera, to widać, że odcisnął on na nich głębokie piętno, choć był tam tylko niecały rok. Na przykład młody ksiądz tak bardzo zaimponował dziewczynce z lekcji religii w szkole podstawowej, że po jego odejściu napisała do niego list. Wraz z siostrą była jego uczennicą w szkole podstawowej w latach 1951/52. A młody, ubrany na czarno wikary wywarł na dzieciach wielkie wrażenie, jak sama mówi: „Nie pamiętam dokładnie jego lekcji. W każdym razie kazania cieszyły się dużą popularnością. Był też obecny przy mojej Pierwszej Komunii Świętej, obok księdza Blumscheina. Do dziś pamiętam, jak mój ojciec powiedział: «To jest dobry ksiądz-nauczyciel. Uważaj, będzie z niego ktoś ważny». Kiedy Joseph Ratzinger po roku pobytu w Bogenhausen wyjechał do Fryzyngi, napisałyśmy z siostrą do niego list. Odpowiedział na niego”. W liście zwrotnym do uczennic Ratzinger pisze: „Nawiasem mówiąc, to, czy ktoś jest po jasnej czy ciemnej stronie, nie zależy ostatecznie od tego, co dana osoba mówi, ale od tego, jaka jest”. Dalej czytamy: „Cieszę się, że wasz wikary jest surowy, bo słowa starożytnych Greków, które przytoczyłem wam w kazaniu na początku szkoły, naprawdę mają zastosowanie: Bóg przedłożył pot i trud nad wydajność”. Wobec kogo był

w końcu surowszy – wobec siebie czy wobec uczniów? Patrząc wstecz, czy był to najbardziej pracowity rok w jego działalności?

„Brakowało mi siły, by być naprawdę surowym w szkole. Korzystając z okazji, chciałbym jeszcze raz podziękować nauczycielom, którzy umożliwili mi nauczanie religii bez surowej dyscypliny, gdyż ich sama obecność gwarantowała dyscyplinę uczniów. Radca kościelny ks. Blumschein był również zbyt wewnętrznie dobronuduszny, aby być surowym. Rodzinna atmosfera w Bogenhausen zachęciła nas w tym czasie wszystkich do pracy i pomogła nam nie dać się przytłoczyć”.

Proboszcz ks. Blumschein wydaje się być imponującą osobowością. W swoich wspomnieniach „Z mojego życia” Joseph Ratzinger opisał mentora jako „wzór do naśladowania”, jako „osobę wewnętrznie jaśniejącą”, która mówiła, że „ksiądz musi «płonać»”. Czy Max Blumschein był dobrym księdzem? Ogólnie rzecz biorąc, co sprawia, że jest się dobrym księdzem? Czy według tych standardów sam wikary Ratzinger był dobrym księdzem i duszpasterzem?

„Proboszcz Blumschein był niewątpliwie dobrym kapłanem. Czy byłem dobrym księdzem i duszpasterzem, nie śmiem o tym decydować. W każdym razie starałem się na swój sposób sprostać wymaganiom mojego urzędu i święceń”.

Początkowo ks. Blumschein pozwalał młodemu wikaremu Ratzingerowi głosić kazania tylko podczas Mszy dla dzieci, ale szybko zdał sobie sprawę, że może go wykorzystać także podczas innych nabożeństw. I tak na wielu Mszach można było zobaczyć, jak podczas kazania wikarego w kościele przechadzał się proboszcz – a podczas Mszy mówił do parafian: „Czyż nie mówi on wspaniale?! Jego kazanie jest nadzwyczajne!”. Czy jest jakieś kazanie z tamtego okresu, które później zostało powtórzone, do którego powrócił lub które później rozwinął?

„Tak naprawdę pamiętam wyraźnie tylko jedno kazanie, które wygłosiłem podczas Pierwszej Komunii Świętej w 1952 roku, raczej na zakończenie mojego roku pracy w parafii. Wtedy powiedziałem, że ludzie zawsze próbowali, a wraz z postępem coraz bardziej, wynaleźć zioło, które zapobiegałoby śmierci. Ale im się to nie udało. Pewnego dnia rozległo się wołanie: Znalaziono je. Jest człowiek, który je znalazł. I oczywiście ludzie rzucili się, by zdobyć od niego lekarstwo i w ten sposób raz na zawsze odstraszyć śmierć. Wtedy, po dramatycznym przedstawieniu tej sytuacji, powiedziałem: Tak, naprawdę jest ten, który ma ziele przeciwko śmierci, tak, to jest On – Jezus Chrystus. Na tej podstawie starałem się wyjaśnić, na czym polega komunika według szóstego rozdziału Ewangelii św. Jana”.

Pierwsze doświadczenie duszpasterskie jest prawdopodobnie istotnym etapem na drodze większości duchownych. To właśnie w tym czasie i z tych doświadczeń najwyraźniej wyłoniło się uświadomienie sobie przez Ratzingera potrzeby „oderwania od światowości”. Sześćdziesiąt lat później, podczas swojej podróży do Niemiec jako papież, zauważył „że znaczna część ochrzczonych oddała się od życia Kościoła”. „Aby zrealizować swoją misję – mówił w słynnym przemówieniu we Fryburgu Bryzgowijskim – będzie musiał dokonać głębokiego wyzwolenia z różnych cech światowości”. Czy była to

może główna idea, którą zabrał ze sobą z Bogenhausu i którą coraz bardziej podkreślał? Czy już wtedy wyczuwał, że jest na tropie jakiejś doniosłej myśli?

„Nie wiem, czy słowo «Entweltlichung» – oderwanie od światowości, które pochodzi ze słownictwa ukształtowanego przez Heideggera, zostało przeze mnie dobrze wybrane we Fryburgu jako podsumowujące słowo kluczowe. Idea jako taka stawała się dla mnie coraz bardziej jasna w trakcie mojego roku bycia wikariuszem, a pod koniec moich lat we Fryzyndze przedstawiłem ją w artykule «Die neuen Heiden und die Kirche» (Nowi poganie i Kościół) w katolickim czasopiśmie kulturalnym «Hochland», wydawanym przez Kösel Verlag, i odbiła się nieoczekiwanym echem. Moje doświadczenie z roku Bogenhausen pokazało mi, że wiele funkcji związanych ze strukturą i życiem w Kościele wykonywali ludzie, którzy wcale nie podzielali wiary Kościoła. Ich świadectwo musiało więc wydawać się wątpliwe pod wieloma względami. W dziwny sposób były wymieszane wiara i niewiara, a to musiało w pewnym momencie wyjść na jaw i spowodować załamanie, które ostatecznie pogrzebałoby wiarę. Ich rozejście się było konieczne, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nie można jednak i nie wolno myśleć o Kościele [tylko dla – KAI] świętych: to, że ta myśl, powtarzająca się w historii, jest fałszywym marzeniem, które rzeczywistość zawsze natychmiast obala, stało się dla mnie szczególnie jasne podczas moich augustiańskich studiów nad donatyzmem. Donatyzm pojawił się pod koniec okresu prześladowań w Afryce Północnej, kiedy to biskupi, którzy poszli na kompromis z pogańskim państwem, teraz postępowali tak, jakby zawsze byli wiernymi pasterzami. Niewielu jednak wiernych chciało uznać takich pasterzy. Do biskupstwa mieli być dopuszczani tylko ci, którzy jawili się wiernym jako nieustępliwie wierzący w czasach prześladowań. Ta początkowa idea doprowadziła jednak wspomnianą grupę coraz bardziej do sekciarstwa i w gruncie rzeczy udowodniła na zawsze, że pszenica i plewy, dobre i złe ryby należą do Kościoła. Nie może to być kwestia oddzielenia dobrych od złych, ale może to być kwestia oddzielenia wierzących od niewierzących. Od tego czasu problem ten stał się jeszcze bardziej widoczny. W instytucjach kościelnych – szpitalach, szkołach, Caritas – na stanowiskach decyzyjnych jest zaangażowanych wiele osób, które nie podzielają wewnętrznej misji Kościoła i w ten sposób często zaciemniają świadectwo tej instytucji. Znajduje to odzwierciedlenie przede wszystkim w ogłoszeniach i oficjalnych stanowiskach. Termin «Kościół oficjalny» został ukuty, aby wyrazić kontrast pomiędzy tym, co jest oficjalnie wymagane, a tym, w co się osobiście wierzy. Termin «Kościół oficjalny» insynuuje wewnętrzną sprzeczność między tym, czego faktycznie chce i co oznacza wiara, a jej depersonalizacją. Cóż, w międzyczasie jest niestety w dużej mierze tak, że oficjalne teksty Kościoła w Niemczech są w dużej mierze kształtowane przez ludzi, dla których wiara jest tylko oficjalna. W tym sensie muszę przyznać, że w przypadku dużej części oficjalnych tekstów kościelnych w Niemczech, termin «Kościół oficjalny» rzeczywiście ma zastosowanie. Pamiętam przypadek sprzed wielu lat, kiedy to poprosiliśmy o tekst dla międzynarodowego czasopisma katolickiego «Communio» młodego biskupa, który był moim przyjacielem (ja sam byłem wówczas jeszcze profesorem), w którym miał on przedstawić intencje i pracę swojego wydziału Konferencji Episkopatu. Rękopis, który nam przysłał, został jednak ewidentnie napisany przez jego wydział i był w gruncie rzeczy językiem aparatu, a nie językiem człowieka. Niestety, doświadczenie to powtórzyło się później wielokrotnie. To, co Kościół ma do powiedzenia z urzędu, jest mówione przez urząd, a nie przez osobę. Tak długo, jak w oficjalnych tekstach kościelnych przemawiać będzie tylko urząd, a nie serce i duch, tak długo trwać będzie exodus ze świata wiary.

Dlatego wydawało mi się ważne, zarówno wtedy, jak i obecnie, aby wyjąć człowieka spod osłony urzędu i oczekiwać od wypowiadających się w imieniu Kościoła prawdziwego, osobistego świadectwa wiary. Słowo «Entweltlichung» – oderwanie od światowości wskazuje na negatywną część tego ruchu, którym się zajmuję, a mianowicie na wyjście z mówienia i ograniczeń czasu ku kierunkowi wolności wiary. Ale właśnie ta strona, pozytywna, nie jest przez to wystarczająco wyrażona”.

Po niespełna rocznym pobycie w parafii Najświętszej Krwi Joseph Ratzinger przeniósł się do Fryzngi. Z Bogenhausen wyjeżdżał z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, w oczekiwaniu na nowe zadanie i wyzwanie intelektualne, z drugiej strony, doświadczył w swojej parafii, jak to jest być potrzebnym w konkretny sposób. Najwyraźniej jedno i drugie – badania teologiczne i żywe kapłaństwo – wydawały się nie do pogodzenia.

„Właśnie ta pozorna alternatywa utrudniała mi niekiedy powrót do pracy naukowej. W końcu jednak zrozumiałem, że alternatywa ta rozwiewa się, gdy właściwie rozumie się pracę teologa. Szczególnie w dzisiejszym zamęciu staje się widoczne, jak bardzo potrzebni są teologowie, dla których praca nad książkami jest ważna, ale która nie ma ostatniego słowa i potrzebuje właśnie duszpasterzy i wikarych oraz w ogóle ludzi, którzy żyją w tym świecie i zmagają się ze swoimi pytaniami i zadaniami – praca tych, którzy w pełni wystawiają się na pytania naszych czasów i znajdują odpowiedzi, które rzeczywiście pomagają żyć w wierze i z wiary”.

Cenny fragment życia

Jaką przyszłość ma dziś przed sobą proboszcz, jeśli ma być w kilku parafiach? Parafia Najświętszej Krwi Chrystusa połączyła się z inną katolicką parafią tworząc wspólnotę parafii. Coraz trudniej wypełniać posługę duszpasterską. Jednocześnie maleje też liczba wiernych. Czy w ogóle możliwe jest bycie pasterzem dla kilku owczarni lub na różnych pastwiskach? Jakiej rady można by udzielić dzisiejszemu wikaremu, jak zachęcić go do podjęcia decyzji o wstąpieniu na drogę duszpasterską?

„Parafia Przenajświętszej Krwi powstała dopiero po pierwszej wojnie światowej z dwóch parafii macierzystych, a mianowicie Bogenhausen i St. Gabriel w Haidhausen. Pod tym względem wspólnota parafii z St. Gabriel jest tylko rodzajem powrotu. Nie ośmielam się teoretyzować, jak najlepiej zorganizować współpracę ponad granicami. Trzeba bowiem znaleźć sposób, aby z jednej strony pozwolić jak największej liczbie osób doświadczyć bliskości Kościoła, a z drugiej strony wziąć pod uwagę granice możliwości poszczególnych duszpasterzy. Nie mówiłbym o «kilku owczarniach». Jest to zawsze jeden Kościół Jezusa Chrystusa. Granice i przejścia graniczne muszą być uregulowane w praktyce. Przed II wojną światową nie należały do rzadkości parafie liczące 60 tys. wiernych. Po II wojnie światowej wprowadzono zasadę, że żadna parafia nie może liczyć więcej niż 10 tys. wiernych. Cesarz Józef II w Austrii był zdania, że ludzie powinni mieszkać nie więcej niż godzinę drogi od swojego kościoła parafialnego a, jeśli to możliwe, mieć tylko pół godziny drogi do kościoła. Z tego założenia wywiódł zasady zakładania parafii. Sam kardynał Bertram z Wrocławia chodził z zegarkiem po ulicach swojego miasta, aby w miarę możliwości tworzyć parafie w taki sposób, aby nikt nie miał więcej niż trzydzieści minut do najbliższego kościoła parafialnego. W tym sensie również po II wojnie światowej powstały nowe

diecezje, jak na przykład Essen, które w czasach świetności Zagłębia Ruhry otrzymało od biskupa Franza Hengsbacha strukturę parafialną, która dziś jest już całkowicie przestarzała. W tym sensie zdecydowanie potrzebna jest elastyczność. Nawiasem mówiąc, nie spodziewałbym się, że młody człowiek przygotowujący się do kapłaństwa będzie musiał wymyślać strukturę, którą zastanie dwadzieścia lat później. On wie jedno, i to jest najlepsze: zawsze będę potrzebny tam, gdzie ludzie potrzebują księdza, potrzebują go duchowo i prowadzi ich do Boga, poza siebie i poza wszelkie struktury. Jak wtedy będzie wyglądała struktura – jest ona tylko drugorzędna i służy jako pomoc w posłudze duszpasterskiej”.

Być może podróż ekumeniczna mogłaby przyczynić się do wzmocnienia wspólnoty chrześcijańskiej. Nieco poniżej kościoła Przenajświętszej Krwi znajduje się ewangelicko-luterański kościół Świętej Trójcy. Czy wikary Ratzinger miał kontakty z protestanckim zbożem, wymianę zdań z tamtejszym pastorem, wspólne działania i zamiary ekumeniczne?

„Odpowiedź musi być niestety negatywna. To prawda, nawiązano bardzo przyjazny kontakt z sąsiednią parafią protestancką, której proboszcz był najwyraźniej naprawdę ekumenicznie zainteresowany i zorientowany. Na przykład zaprosił kiedyś Romano Guardiniego, aby wygłosił wykład w jego parafii. W tym sensie istniała prawdziwa duchowa bliskość parafii, która jednak nie manifestowała się jeszcze konkretnie we wspólnych działaniach”.

Joseph Ratzinger rozpoczął pracę jako ksiądz i duszpasterz w parafii w Monachium-Bogenhausen. Powrócił raz jeszcze myślami, spojrzął wstecz na swoją ówczesną pracę, przypomniał sobie ludzi i miejsca, które go wtedy otaczały; przypomniał sobie raz jeszcze zadania, które składały się na posługę duszpasterską wtedy i obecnie. Wreszcie, w szczegółowym liście, w którym przekazuje odpowiedzi na pytania, pisze: „Chociaż nie będę już mógł chodzić po ścieżkach Bogenhausen na tym świecie, są one cenną częścią mojego życia, która na pewno pozostanie ze mną w świecie przyszłym”.